

Nr. 19. Cieszcie się lubym wiekiem, bo prędko uleci, Wesoło lecz na dobre użyjcie go, dzieci. **1. Października.**

WYCIECZKA W TATRY.

(Ciąg dalszy).

DOLINA KOŚCIELISKA.

Jedną z największych osad na Podhalu jest Czarny Dunajec i rodowość Podhalan wyraża tu się może w najdobitniejszych rysach. Pominąwszy tę gęsto nasiadłą dziedzinę jedzie się ku Tatrom wzdłuż Dunajca, który wiele razy przebrodzić wypada w tej drodze. Im bliżej Tatrów tem większy spadek ma rzeka, z tem większym szumem spada po kulistym

odtoku granitów, któremi i całe łoże i cała dolina jest zasiana. Wody tego Dunajca są modre, prześlicznie zielone, niekiedy żywo seledynowe, po głębszych toniach koloru oczek pawiego wachlarza, mieniące się uroczo.

Rozmowa z góralami, którzy bardzo wymownie po drodze wszystko tłómaczą, to najwłaściwsza przedmowa do widoku Tatrów, które coraz więcej nikną z oczu w miarę przybliżania się do nich, bo tylko tu lub ówdzie mignie szara turnia; aż się w końcu wjeżdża u stóp już samych Tatrów w las świerkowy, którym równina gęsto porasta. Przebywszy ten las stoi się już do razu u skalistych regli, tak nazywają górale całą tę przestrzeń Tatrów, która lasami obrasta. Powyżej dopiero tych lasów legły alpejskie pasze halami zwane, a turniami zwą się skaliste szczyty, które powyżej regli i hal olbrzymio strzeliły ku górze.

Kościeliska dolina poczyna się otworem dwóch skał pionowych, zwanych Kościeliską broną. Pomiędzy temi skałami wypada nagle Dunajec z łoskotem i tyle jest tu tylko miejsca, ile do ulania wód jego potrzeba. Rzucić tedy musiano most przez niego ukośny, aby się dostać do doliny, którą w koło amfiteatralnie nagie ostąpiły skały — po których się czepia alpejska roślinność.

Tu opowiadali nam górale że się niegdyś aż w tej dolinie pasały dzikie kozy, dopóki nie było górników i młotów (hamerni). O nazwisku zaś tej doliny mówi tak legenda:

Za czasów św. Kingi naszli byli Tatarzy na Podhale. Św. Kinga broniła ludu od najazdu, i schroniła się z ludem w tę dolinę. Górale osadzili wnijście do brony i wszystkie skały ciasnego wąwozu, a gdy tatarska pogoń wpadła na dolinę, wybili ją kamieniami górale. Kości Tatarów wybitych świeciły długo w dolinie i ztąd jest Kościeliską nazwana.

Posuwając się w górę od Kościeliskiej brony nadchodzi się do Młotu i Leśniczówki. Lipy, któremi to miejsce jest obsadzone, są już widocznie stare, a pomimo to niewielkie, prze-

niesione w niewłaściwą im strefę. Po za Leśniczówką rozszerza się nieco dolina i nierównie wyższe skały spadają do poziomu pionowo. Tu można się przypatrzyć bogactwu niewidzianych żródeł, z których jedne z pod skał tryszczą a drugie bałwaniąc się gwałtownie z poziomu biją. Z każdego źródła upływa prawie rzeczka, i w dziwnej plątaninie uchodzą te wody do Dunajca, który w głębokim kamiennym żłobie okrąża kraniec doliny i niżej nieco na łotoki wzięty, młoty porusza.

Pominąwszy to obszerne źródłowisko wstępuje się w ciasny wąwoz, którym dalej wiedzie droga w górę Kościeliskiej doliny — źródłowiska te zbogacają bardzo wody Dunajca, nie tu wszakże są źródła jego. Wypływa on znacznie wyżej z wielkiej skalistej jaskini, z niesłychaną gwałtownością, i ta jaskinia należy do największych osobliwości całej tej doliny. Droga czepia się tu po skałach i obłazach, przerzucając się mostkami z jednej na drugą stronę skał, które pionowemi ścianami otaczają ten wyłom. W perspektywie widoków mignie już tu czasami jedna z największych polskich turni Pyszną zwana, i rzeczywiście rozsiadła się ona pysznie na grzbiecie polskich Tatrów. Najbardziej zajmującym widokiem jest wszakże w połowie wyłomu okolica tak zwanych Kominów; są to skały kilku tysięcy stóp sięgające, które w kształcie kominów odosobnionych obok siebie sterczą — pomiędzy szczelinami ich zachodzą drobne przydolinki, jak szmaragd zielone, częstokroć ledwo na parę kroków szerokie, najświeższemi alpejskiemi roślinami okryte, ale zachodzące bardzo głęboko u poziomu potrzaskanych mas, z pod których żywe źródła tryszczą a po których olbrzymie kobierce mchu porastają, lekko owiane kitkami paproci. Nie wiedzieć co tu umysł więcej zachwyca, czy olbrzymie widoki gdy je człowiek ogarnie duszą; czy drobne widoki szczegółów tych piękności natury, gdzie wszystko tak wykończone się zdaje, jakby ręka artystyczna porządkowała te piękności. Mimowoli trzeba tu powiedzieć sobie: Czemu ci co zakładają ogrody nie idą w Kościeliską dolinę, gdzie natura wszystko zrobiła, ale gdzie człowiek ledwo ślad zniszczenia położył po sobie?

Niedaleko końca doliny ustępują nagie skaliste masy, rzeka płynąca staje się już tu tylko potokiem i wielki odkrywa się widok na turnie. Wprost doliny leży Pyszna; po prawej od niej Ornog i Stara Robota, jest to zawalona kopalnia srebra z czasów Zygmunta Starego. Po lewej od Pyszny wznosi się turnia Smereczyną zwana a dalej jeszcze Tomanowa polska, i w lewo prowadzi tu stroma bardzo ścieżka na Przełęcz Tomaniarską, na Cichą Dolinę, której wody już do Węgier płyną. Na którąkolwiek zwrócić się turnię, do każdej prowadzi inna droga, ale wszędzie powtarzają się te same zjawiska. Na pewnej wysokości poczyna się piękny, świerkowy lub bukowy las, i zmienia się w karłowaty porost; świerki idą jeszcze najwyżej, niekiedy kończy się ich linja u góry jaworzynami, ale wszystkie pienne lasy ustają na pewnej wysokości i poczynają się lasy kosodrzewiny; jestto rodzaj sosny, która się ściele po ziemi i osobną dzielnicę roślinności tworzy która powyżej lasów potem każdą turnię otacza do koła.

Powyżej dopiero lasów kosodrzewiny leżą właściwe pasze alpejskie, halami zwane, a nagie skaliste turnie okrywają się tylko kobiercem mchów poniżej, powyżej zaś całemi łanami płucnika (lichen islandicum) kiedy same szczyty turni i luźnego rumowiska okrywają się tylko lekkiemi porostami (Algami) które już w znacznem oddaleniu całym turniom oddzielny dają koloryt. W miarę tego bywają turnie porosłe żółtemi algami, seledynowemi i pąsowemi, a są także algi które niewidzialne dla oka, dają kamieniom najpiękniejszy zapach fijołka. Wspinając się na lesiste regle słyszy się jeszcze do koła szumiące potoki, ozwie się jeszcze śpiew ptaka lub hukanie górala, czasem burknie cietrzew lub jarząbek lub zatokuje głuszec. A w miarę zbliżania się do lasu kosodrzewów głuchnie wszystko i tylko ptaszek maleńki, siwornikiem zwany, furknie lub ćwirknie czasem. Wyżej na halach znowu szałase i trzody owiec, granie lub nawoływanie się pasterzy, szczekanie psów liptowskich i całe życie alpejskich pasterzy, którzy od zielonego liścia do śniegu żyją na tych halach. Ale w turniach samych głucho, i przerażającą jest ta

cisza nieożywiona żadnym głosem natury; poczerniałe śniegi przeciągają się po cienistej zboczy turni, lub po głębszych żłobach a wiatr jednostajny, który z nóg prawie częstokroć garnie, dzwoni i wyje po skałach i wydaje dziwne głosy. Rzadka tu chwila ciszy na tych skałach; u stóp ich biją częstokroć pioruny pod nogami widziane i przesuwa się powódź olbrzymiej mgły, jak morze, a przy zbliżającej się burzy zbiera się u szczytu turni nie wiedzieć zkąd rój jaskółek, które złowieszczo migocą wróżąc bliską burzę i słychać przeraźliwy pogwizd dzikich kóz, których się nie widzi.

(D. n.)

O ZACNYM MIESZCZANINIE POLSKIM

Szczygle,

który sławnie kropił Moskali.

Działo to się w tych czasach kiedy rządził Polską Stanisław August, którym znowu rządziła caryca Katarzyna na wstyd i hańbę przed całym światem. Była u nas wówczas taka bieda że aż strach o niej wspomnieć, bo żołdactwo moskiewskie grasowało w Polsce gorzej niż Tatar, niż szarańcza, niż dżuma. Moskale łupili, zdzierali, pastwili się nad biednym ludem polskim, katowali, więzili, wywozili na wygnanie obywateli polskich, znieważali kościoły, sejmy, słowem wszystko i wszystkich gnębili i niszczyli, i dziwna zaiste że Pan Bóg na te potwory nie zesłał swych piorunów lub że ich żywcem nie pożarło piekło. Ale co się odwlecze to nie uciecze, bo sądy Boże są sprawiedliwe, choć cierpliwość Jego jest nieprzebrana.

Król patrzał na to wszystko a czynił tak jakby nic nie widział, o niczem nie słyszał. Fryzował się, stroił, jadł, pił,

bawił się i dawał bale, a naród tymczasem krwawemi płakał łzami i jęczał w nędzy. Zacnym obywatelom to się aż serce krajało z bolu i żalu, robili też co mogli żeby ratować nieszczęśliwą matkę ojczyznę i oczyścić jej świętą ziemię z plugawstwa moskiewskiego. W szlachetnym zamiarze wypędzenia z Polski wrogów zawiązał był pan starosta Warecki Puławski konfederację barską, o której czytałyście już w naszym Przyjacielu Konfederaci bili się jak lwy, jak nieodrodni synowie swej matki Polski, ale nie mogli podołać przeważającym siłom Moskwy. Byliby może przecie wyszli jako tako, bo mieli prawdziwie polskie złote serca, co to płoną wieczną miłością ojczyzny, wieczną wiarą i bohaterską odwagą, ale coż kiedy ufryzowany i upudrowany król, co się brzydził kontusza a chodził zawsze we fraku, ani daj Boże trzymać z narodem, tylko ciągle łasił się Moskwie i przymilał do carowej Katarzyny. Miasto pomagać psuł on wszystko. A byli też i łotrowie tacy pomiędzy panami polskimi, którzy brali od wrogów pieniądze, co gorsza znaleźli się takie ciemięgi pomiędzy drobniejszą szlachtą, którzy dali się znowu przekupywać owym podłym panom i siali niezgodę pomiędzy bracią. Był to już taki dopust Boży na Polskę Konfederacja barska więc upadła i jej przywódzcy, którzy nie poginęli z chwałą na polu bitwy, poszli tułać się w obczyźnie. Cięższa to zaiste dola niż zginąć od kuli lub szabli w obronie swej ziemi i spocząć w jej łonie na wieczny spoczynek!

Konfederacja upadła, ale duch narodu nie upadł, serce nie ostygło! Powstawały jak grzyby po deszczu nowe zbrojne konfederacje, a co jedną rozbito, to druga już się zawiązywała. Lada szlachetka silnej ręki a wojackiego animuszu gromadził koło siebie kilku lub kilkunastu zuchów i tłukł Moskalisków póki sił stało i póki sam nie został stłuczony. Taką partyzantką dokuczał Moskalom Rydzyński, Bierzyński, Ujejski, Kiedrzyński i wielu innych, którym niech Bóg najwyższy świeci za to nad duszą. Pełno było w Polsce szczęku, huku, wrzawy; szlachta szamotała się po wszystkich kątach z Moskalem, ale Moskwa zawsze była górą, bo żołdactwa moskiewskiego pędzono do Polski ciągle nowe tłumy.

Żył sobie podówczas w mieście Pyzdrach w Wielkopolsce zacny mieszczanin pan Szczygieł, uczciwy szewc z dziada pradziada. Słyszał Szczygieł o tych klęskach, które Moskale zadają Polakom i nieraz gorzko zapłakał szyjąc buty. Był to chłop silny, barczysty a niemiałkiego też rozumu i zawołany majster w całych Pyzdrach, znany nawet w wojewódzkiem mieście Kaliszu. Ale coż—od kiedy Moskale wleźli do Polski, nie szła mu już tak rażno robota, stracił chęć do wszystkiego a dziwnie go jakoś świerzbiały dłonie. Aż nareszcie gdy przyszła wiadomość że konfederaci barscy ze szczętem rozbici i Moskaliska zaczęli jak zmora snuć się po Pyzdrach po przed okna pana Szczygła, nie stało już cierpliwości zacnemu szewcowi, zawrzała w nim krew i rzekł:

— Butów nam nie zabraknie, ale ojczyzny zabraknąć gotowo. Czas rzucić pocięgiel a chwycić natomiast za szerpentynę! —

Rzekł i cisnął w kąt kopyta i szydła, a potem pewnej nocy znikł tak cicho z Pyzdr, jakby go nigdy tam nie było.

Nie upłynęło kilka tygodni, aż powstał lament pomiędzy Moskalami, bo co nocy to ich kilku i kilkunastu ubywało. Jeżeli gdzie tylko odbiegł od swoich jaki Moskal, jeżeli tylko gdzie na uboczu postawiono jaką pikietę, to ich już nigdy pewnie ludzkie nie ujrzały oczy. Codziennie to znajdywano jakiego Moskala obwieszonego na jakiem drzewie w sąsiedztwie Pyzdr, codziennie to bodaj jeden kozak zginął. Długo nie domyślano się co to za licho płata Moskwie takie figle, aż w końcu rozeszła się pogłoska że to Szczygieł dobrawszy sobie kilkunastu podobnych zuchów, tak przerzedza Moskali.

Gwałt powstał wielki, a Pyzdrzanie aż rośli z radości że takiego chwata wydali z pomiędzy siebie. Codzień też coraz to smutniejsze dla Moskali dochodziły wieści, a pocieszniejsze dla Polaków. Tam kasa moskiewska przepadła, tam mały jakiś oddział moskiewski, ciągnący na łupież i gnębienie Polaków, został rozbity i rozprószony.

Ale do czasu dzban wodę nosi—powinęła się też i poczciwemu Szczygłowi noga; Szczygieł wpadł w sidła.

Chciał Szczygieł połączyć swą garstkę z liczniejszym jakim oddziałem, bo rozumiał że sam wiele nie dokaże i prędzej czy pożniej zmogą go Moskale. W tym zamiarze ciągnął do obozu pana Malczewskiego, który większe połączył był siły, kupiąc koło siebie niedobitki Konfederatów barskich. Po drodze wstąpił on do niejakiego Bentkowskiego, chcąc go nakłonić żeby się z nim udał do obozu Malczewskiego. Bentkowski jednak był zdrajcą a myślał tylko o tem czyby nie mógł co wytargować od Moskali za głowę Szczygła. Zmyślił więc wielką powolność, dając przyczynę iż dlatego tylko dotąd nie połączył się z Malczewskim, ponieważ nie wiedział gdzie się tenże znajduje, ale teraz mając przewodnika chętnie z nim pójdzie żeby pomódz bić Moskali. Że zaś miał więcej ludzi swoich w Ratajach, wsi do starostwa pyzdrskiego należącej a o pół mili od Pyzdr odległej, więc prosił Szczygła aby z nim tam się udał, i ztamtąd mieli razem pociągnąć do Malczewskiego.

Szczygieł nie przeczuwając żadnej zdrady pojechał z Bentkowskim do Rataj, nie mając przy sobie tylko dwóch ludzi. Ale skoro wjechali na podwórze folwarku ratajskiego i Szczygieł zsiadał z konia, strzelił doń Bentkowski i postrzelił go w bok, a na to hasło wysypali się zewsząd Moskale, porwali upadającego Szczygła, zawlekli do izby i tam go okropnym sposobem zamordowali.

Tak zginął poczciwy Szczygieł, a wkrótce po nim przepłacił i Bentkowski zdradę życiem, bo Malczewski pojmawszy go oddał pod sąd wojenny i kazał go ściąć.

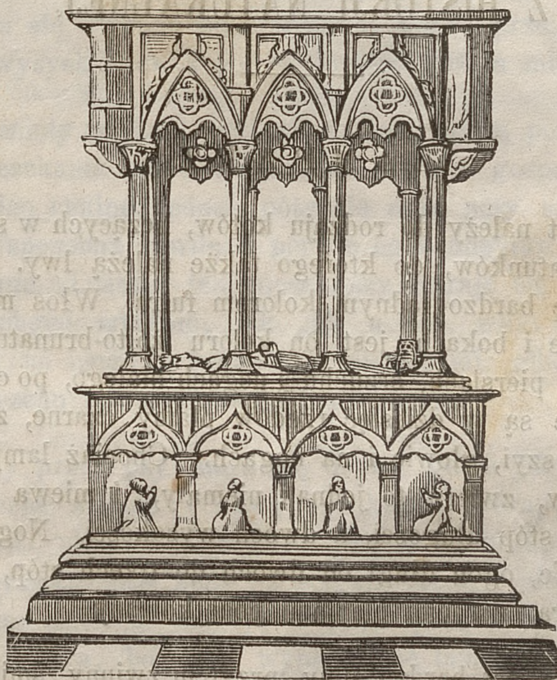
Daj nam Boże jak najwięcej takich szewców, a ani jednego zdrajcy.

Tyle o Szczygle, szewcu; na przyszły raz opowiem wam zaś o Morawskim, rzeźniku, który przewyższył jeszcze Szczygła i kłuł Moskali jak wieprze.

SZAJNE-KATARYNKA.

Obrazek dalszy.

Na szkle grobowiec Kazimierza Wielkiego. Muzyka gra: G o r z k i e ż a l e.



A to jest Kazimierz Wielki!

Król kochany od narodu,
Sławny w dziejach z czynów wielu,
A ostatni z Piastów rodu,
Jako leży na Wawelu —

Niegdyś królem chłopków zwany,
Sprawiedliwy i kochany;

Bo za prawem rządził,
I sumiennie sądził —
I wziął Polskę budowaną
A zostawił murowaną;
Więc jak Piast, więc jak pan,
Pośród ludu pochowan.

Z HISTORJI NATURALNEJ.

LAMPART.

Lampart należy do rodzaju kotów, liczących w sobie bradzo wiele gatunków, do którego także należą lwy. Lampart odznacza się bardzo ładnym kolorem futra. Włos ma krótki, na grzbiecie i bokach jest on koloru żółto-brunatnego, pod gardłem, na piersiach, brzuchu i nogach białego, po całym zaś nim rozsiane są w dziesięć rzędów plamy czarne, zmniejszające się ku szyi, głowie i na nogach. Chociaż lampart liczy się do kotów, zwierz to jednak niemały, i miewa od trzech do czterech stóp długości, a dwóch wysokości. Nogi jego są dosyć krótkie, ogon długi od dwóch do trzech stóp, i tak samo jak skóra czarnemi plamami pocętkowany.

Lampart jest bardzo silny, przytem zwinny, śmiały i nadzwyczaj zręczny we wspinaniu się na drzewa, w skokach, w przesadzaniu murów i parkanów, i gdy się znajduje w jakiem niebezpieczeństwie. Zamieszkuje szczególniej zachodnie strony Afryki, ale znajduje się także i w Azji na przylądku Dobrej Nadziei, na wyspie Jawie i innych wyspach tak zwanych Sundzkich. Pysk jego uzbrojony jest silnemi zębami, pazury u nóg, bardzo ostre, ma wysuwalne jak u kota, a żywi się samem mięsem różnych zwierząt, w krajach tych znajdujących

się, jak małp, antylop i królików. Czasami porywa owce, krowy, żrebięta i cielęta, należące do gospodarzy tamtejszych okolic, a głodem przymuszony lub broniąc się przed napaścią rzuca się nawet i na ludzi. Czyhając na zdobycz włazi na drzewo albo ukrywa się w krzakach zwykle po nad rzeką lub jakiem strumieniem, i wtenczas układa się jak pies, nogi przednie wyciąga, na nich kładzie łeb, i tylko błyska oczami rzucając niemi na wszystkie strony. Gdy postrzeże jakie zbliżające się zwierzę, które nie wiedząc o swym nieprzyjacielu idzie ku wodzie dla napicia się, wówczas lampart przyczaja się do drzewa lub ziemi jeszcze lepiej, i potem w jednym skoku rzuca się, wpada zwierzęciu na kark, przegryza żyły i ścięgna, wysysa krew i potem dopiero pożera mięso.

Przyciśnięty głodem, wyjąc i rycząc, nocną porą podchodzi pod mieszkania ludzkie, i chociaż tamtejsi gospodarze mają psy bardzo czujne, jednak póty się czai, póty się skrada, aż upatrzy sposobną chwilę, i porwie co z dobytku ludzkiego na pożywienie. Dlatego też mieszkańcy starają się go wszelkiemi sposobami wytępić, tak jak u nas wilki i lisy, i albo polują na niego z psami i ze strzelbami, albo łowią w doły z wierzchu jak najstaranniej przykryte.

Goniony przez psy stara się dopaść gdzie jakiego drzewa, i wówczas z nadzwyczajną szybkością wdrapuje się ku wierzchołkowi, ukrywa się między gałęzie i z chrapaniem wyszczerza ogromne swe zęby na ścigających go nieprzyjaciół. Psy wtenczas szukając biegają w około pnia, a myśliwi trzymają się z daleka, bo były wypadki że lampart postrzałem raniony rzucał się z drzewa na strzelającego, i szponami i zębami rozszarpywał go na miejscu. Myśliwi więc na strzał oddaleni od drzewa palą do lamparta jak do celu i zabijają.

Jeden z uczonych profesor Lichtenstein, będąc w Afryce opisał jedno zdarzenie z lampartem w następujący sposób:

Dano nam znać że lampart w dół się złapał. Pobiegliśmy przeto w pole i stanąwszy nad dołem zobaczyliśmy dzikie to

zwierzę w ogromnej wściekłości, rzucające się na wszystkie strony i gwałtem usiłujące wyskoczyć lub wydrapać się na wierzch. Wówczas w dół spuszczono sznur z pętlą i uchwycono go za łapę, lampart zaraz przeraźliwie ryknął, zaczął się najokropniej rzucać, drapać, kąsać, ale gdy pochwytano tym sposobem i drugie łapy, związano je razem. Zaraz potem spuścił się do dołu człowiek, zarzucił mu sznur na szyję, kaganiec na pysk, i tak związanego wyciągnięto z dołu, a przeciągnąwszy między ścięgna nad kolanem tylnej nogi żelazne kółko, uwiązano go na łańcuchu do drewnianego pala. Lampart czując się swobodniejszym, otrząsł się, wyprostował, i poczuwszy podstawione mu mięso, zaczął leść do niego na brzuchu, tuląc głowę do łap przednich, i wijąc się jak wąż kiedy przesuwa się między badylami. Czajenie się takie lamparta patrzących bardzo bawiło, chcąc więc zmusić do skoków i rzucania się, zaczęto ciskać na niego kamykami; lampart za pierwszym zaraz kamykiem ryknął przeraźliwie i kłapnął szczękami tak silnie, że aż szczęknęło, ale gdy rzucono drugi, piąty i dziesiąty kamień, zwierz wpadł w straszny gniew, zaczął się rwać i rzucać, jakby chciał skoczyć ku ludziom. Patrzący w śmiech i dalejże znowu kamieniami—lampart więc stanął, popatrzył chwilkę jakby chciał poznać który najwinniejszy, i rzucił się z ogromną siłą ku ludziom.

Na nieszczęście kółko żelazne czy pękło, czy się rozszerzyło, dosyć że wysunęło się z łańcucha i lampart wpadł na jednego z patrzących. Popłoch więc zrobił się niezmierny, chwycono za drągi, strzelby, ale wszystko to nie wiele było by pomogło, gdyby lampart był przy zwyczajnej swojej sile. Że jednak wyciąganiem z dołu i zasadzaniem kółka u nogi zwierz na siłach niezmiernie opadł, więc napaść jego więcej sprawiła strachu jak szkody, chociaż i tak porządnie podrapał i pokaleczył. Spiesznie zatem wypuszczono psy z uwięzi, te tłumem rzuciły się, jeden prosto skoczył na kark lamparta i począł go targać za ucho. Lampart otrząsł się z rykiem, pies zleciał z niego jak gruszka, a lampart złapał go za łeb i udusił za jednem ściśnieniem. W tej samej chwili inne psy

korzystając z tego, obsiadły lamparta ze wszystkich stron jak mrówki, i choć ten rzucał się, ryczał, i darł pazurami, jednak go już nie puściły i w kwandrans czasu rozciągnęły na piasku na śmierć zagryzionego.

Zwierz ten wprawdzie bardzo jest szkodliwy i niebezpieczny, ale chociaż człowiek zmuszony jest wytępiać go dla własnego bezpieczeństwa, nie ma prawa pastwić się nad nim, bo coż on winien że go Bóg stworzył lampartem, a nie krową lub owcą? Ci więc co go drażnili kamykami, bardzo źle robili i nie po ludzku; o mało zatem swawoli swej życiem nie przepłacili.

Hotentoci mięso lampartów jedzą jak przysmak jaki, skóry zaś używają na pokrycia i płaszcze. Złapany małem kocięciem, łatwo oswaja się i wówczas niezmiernie lubi wszelkie igraszki z ludźmi.

O innych gatunkach zwierząt liczących się do kotów, również wielkich i strasznych jak lamparty, powiemy wam poźniej.

BŁAZNY.

Jestto niedobrym u nas zwyczajem że nieraz przezywają się ludzie błaznami, chcąc tem oznaczyć takich, którzy coś niemądrego zrobili. Jestto niesłusznie, najpierw dla tego że jest rzeczą nieprzyzwoitą dawać komuś przezwiska, a powtóre także dla tego że znaczenie wyrazu błazen nie jest dziś właściwie rozumianem. Dzisiaj niema błaznów, którzy w czasach dawniejszych stanowili pewien szczególny rodzaj ludzi. O nich to, lube dziatki, chcę wam dziś nieco bliżej opowiedzieć, a mianowicie o błaznach w Polsce.

W dawnej Polsce nazywano błaznem człowieka dowcipnego i wesołego, który umiał żartami przyjemnie rozweselać. Dlatego zwano ich także wesołkami, i tak zowie ich dziś jeszcze nasz lud wiejski. Owoż takich wesołków czyli błaznów utrzymywali sobie wielcy panowie i królowie, aby ich bawili, i aby im w żartach nieraz prawdę mówili. Byłto dawniej taki obyczaj, któremu się nikt nie dziwił. Wszyscy słuchali uważnie błaznów, a choć oni czasem gorzką prawdę mówili, nie śmiał im nikt nic za to uczynić.

Ze swojej strony robili błazny co można aby ludzi śmieszyć i weselić. Dla tego nosili już odzienie szczególniejsze, najczęściej pstrokate, z różnych kawałków materji jakby szachownica pozszywane, czapeczkę szpiczastą z dzwonkami i grzechotkę w ręku. Wreszcie starali się błazny mówić zawsze prawdziwe dowcipy, i dla tego lada kto niemógł za błazna uchodzić.

Oprócz dowcipkowania dla zabawy używali błazny nieraz pod pozorem żartu sposobności aby niejedną prawdę powiedzieć. Bo to miłe dziatki, jest już taka natura ludzka, że ją prawda w oczy kole. Nawet człowiek poczciwy i dobry nie lubi prawdy, a to dla ambicji, która nie umie znosić wstydu. Zwłaszcza dla ludzi starszych jest przygana, nawet sprawiedliwa, przykrą. Tak było zawsze a więc i za dawnych polskich czasów. Wszyscy unikali wzajemnych nagan, aby się nie drażnić. Tylko jedni błazny mieli możność powiedzenia każdemu surowej i gorzkiej prawdy w oczy, i tego nikt się już tyle nie sromał ani na błazna się nie gniewał, bo błaznom wszystko wolno — mówiło dawne przysłowie.

A takie mówienie prawdy było właśnie największą zasługą błaznów. Kogo oni raz dowcipkami ugryźli, komu raz przyganili żartem, ten wystrzegał się swojego błędu i wady swojej, aby nie popaść nanowo w śmieszność. Tym sposobem wpływali błazny nieraz na powstrzymanie lub całkowite usunienie przywar ludzkich.

Może wam się taki sposób poprawiania ludzi dziwnym wyda, dziatki kochane, ale bądźcie pewne że to wcale nie zły sposób. Ot nie szukając daleko uważcie samych siebie. Niejedno z was ma czasem jakąś wadę, której ani rusz pozbyć się. Daremnie mama i tato napominają i karzą; synek lub córeczka przyrzekają poprawę, wystrzegają się, ale w końcu przywara bierze górę i zapomina się o wszystkiem a po staremu grzeszą. Lecz kiedy ta wada przypadkiem zostanie wyśmianą, lub przez kogoś tak dowcipnie zganioną że ogólny śmiech wywoła, wtedy zaboli taka nagana serdecznie, ale też i skutecznie dopomoże do poprawy. A wiecie dlaczego tak śmieszność boli? Oto dla tego że uraża miłość własną i ambicję — o czem kiedyś dokładniej wam napiszę, bo nam teraz czas powrócić do błaznów.

Otoż widzicie że błazny niemałą rolę odgrywali na całym świecie, a więc i w Polsce. Lubiano ich za dowcip i wesołość, a obawiano się też niemało ich przycinków i tej śmieszności, jaką okrywali ludzi złych i wadliwych—poprawili oni nie jednego, a zabawili każdego. Owszem królowie i panowie wielcy umyślnie w tym celu utrzymywali sobie błaznów aby prócz zabawy zwracali ich uwagę i wytykali im błędy. Bo monarchowie i tacy panowie wielcy dawniejszemi czasy prawie samymi tylko pochlebcami otoczeni byli, którzy obawiali się przyganić im cośkolwiek, aby ich łaski nie stracić. Wiedzieli zaś oni że jako ludzie podlegają także błędom, i z tego powodu radzi byli jeżeli im kto wytknął takowe. Dlatego utrzymywali sobie błaznów, i dozwolali im mówić sobie prawdę w oczy.

Szczególniej działo się tak w dawnej Polsce, której królowie byli zazwyczaj bardzo zacni i sprawiedliwi, więc obawiali się najmniejszą krzywdę wyrządzić narodowi. I jedynie u królów polskich i w całej Polsce byli błazny rodzajem ludzi niepospolitych, i mieli inne znaczenie nad prostych śmieszków. Takim niezwykłym błaznem był Stańczyk i inni, o których wam obszerniej w przyszłym numerze Przyjaciela napiszę.

Ale jak każda rzecz ma swoją ostateczność i złą stronę, tak i błazny ją mieli. Wielu udawało się za błaznów jedynie dla zarobku, i służyli za liche stworzenia, któremi się drudzy bawili. Tym nie szło o dowcip wykwintny i o mówienie prawdy, dla tego też przeradzali się w nędznych śmieszków, któremi każdy gardził i bawił się tylko. Od nich to poszło nazwanie błazen w naganne przezwisko, i pozwoliło ludziom zapomnieć czem byli prawdziwe błazny, i że tamci nie zasługiwali bynajmniej na wzgardę. Dlatego chciałem wam rzecz wyjaśnić i wytłumaczyć kto oni byli i jak o nich sądzić wypada.

Odkładana praca.

BAJKA.

Pewien młynarz chciał wielki wiatrak wybudować,
I swym wielkim wiatrakiem inne zakasować;
Tak myśląc dużo drzewa na placu poskładał,
Co dzień jednak robotę do jutra odkładał.
Tak upływał dzień po dniu, rok płynął po roku,
A młynarz z swoją pracą nie zrobił i kroku.
Wreszcie śmierć zaskoczyła przedsięwzięcia dumne,
Z drzewa, które zostawił, zrobiono mu trumnę.

N.

Przyjaciel dzieci wychodzi dnia 1 i 15 każdego miesiąca. Przedpłata w miejscu wynosi rocznie 4 Złr. 40 cnt. w. a., półrocznie 2 Złr. 20 cnt. w. a. Z przesyłką pocztową rocznie 5 Złr. w. a. półrocznie 2 Złr. 50 cnt. w. a. W W. X. Poznańskiem rocznie 3 talary pruskie. Przedpłatę miejscową przyjmuje księgarnia p. Karola Wilda. Przedpłatę pocztową (*także z W. X. Poznańskiego*) należy przysyłać **franco** wprost: *Do redakcji Przyjaciela dzieci, we Lwowie w rynku pod l. 51.*

Redaktorka odpowiedzialna Aniela Zawadzka. Drukiem K. Pillera 1862.